



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. i sgr. 20.

## POGA WĘDKA.

Najpopularniejszym, chociaż najmniej przyjemnym, tematem do rozmowy w obecnej porze ogórkowej jest urodzona w Damiecie nadnilowej... cholera.

Dawno-śmy o niej nie słyszeli i potrosze zaczęli zapominać o tej pladze, gdy nagle telegramy angielskie zaalarmowały Europę wieścią o wybuchu zarazy, która z śmiertelną kosą w ręku zaczęła swoje żniwo pomiędzy Egipcyanami.

Uczeni i nieuczni zgodzili się jednomyślnie na tę głęboką uwagę, że dopóki epidemia nie przedostanie się przez Morze Śródziemne, niebezpieczeństwa dla Europy niema wielkiego; ale, jeżeli jakie licho przewlecze ją przez tę granicę, w takim razie... nieuczni uczuwają boleści a *contto* tych fatalnych konsekwencyi, a uczeni z rezygnacją losy swoje powierzają władzom municypalnym, kommissyom sanitarnym i innym organom, czuwającym nad czystością miast i przestrzeganiem higienicznych przepisów.

U nas w Warszawie orzekli rzeczoznawcy z naukową powagą, że „niebezpieczeństwo jeszcze nie grozi“, zatem wyjątkowych środków ostrożności przedsiębrać nie potrzeba, panów lekarzy od wyjazdów za granicę, czy też na letnie wczasy powstrzymywać nie należy: słowem — kpić sobie z „bębna za górami“; aż tu, jakby dla ironii, telegramy z przed kilku dni puściły racę alarmującą o wypadku cholery w Marsylii i kilku wypadkach choleryny w Ostendzie.

Strach ma wielkie oczy; okazać się jeszcze może, iż telegrafista pospieszył się zanadto z tak ka-

tegoryczną wieścią, ale wrażenia jej cofnąć nie zdoła nic, nawet urzędowe zaprzeczenie.

Tymczasem o to wrażenie najbardziej chodzi. Jeden z najcelniejszych lekarzy niemieckich w Berlinie, Dr Niemeyer, miał przed dwoma tygodniami odczyt „O cholery“, w którym główny nacisk położył na czynniki moralnej natury, działające najgubniej podczas epidemii; rzekł on najwyraźniej, iż obawa owiele jest niebezpieczniejszą od samej choroby; zdrowy człowiek na widok chorego może uleść tysamsym przypadłościom. Strach sprowadza upadek na duchu, a ztąd zmniejsza siłę oporu w całym organizmie; do tego zaś przyczyniają się jeszcze niezależne już od woli ludzkiej czynniki, jak warunki klimatyczne i meteorologiczne, i zależne, lecz lekceważone, jak nieostrożne przestrzeganie przepisów higienicznych, w używaniu pokarmów, napojów, kąpieli i t. p.

Jest podanie arabskie o cholery, według którego sama zaraza zabija jedną dziesiątą, a brat jej: „strach“ dziewięćdziesiątych ofiar zpośród ludzi.

Cóż na to poradzić?... nie bać się; tylko, że łatwiej to powiedzieć, niż uczynić.

Zdarzają się tak odważni, iż już nie samej cholery się boją, ale tego, aby... się nie bali.

Wracając do zajmującego odczytu Dra Niemeyera, dodajmy, że uważa on środki ostrożności przeciw cholery, za niezbędne i korzystne o tyle tylko, o ile zdołają zmniejszyć obawę przed epidemją. Główną rzeczą, rozumie się, aby każdy dbał o siebie i zachowywał się stosownie do przepisów sanitarnych.

Powodem też wielu nieszczęść bywa niewłaściwe zachowanie się; zamiast użycia na razie środków przeciw wymiotom, biednego chorego traktują, jak skazańca na śmierć — zadają mu krople, zawierające mnóstwo eteru, które najsilniejszy organizm pokonać mogą, a o użyciu skutecznych

prawdziwie środków najczęściej zapomina się w popłochu.

Podług Dra Niemeyera niema dotąd żadnego pewnego środka przeciw cholery; jedynym, najskuteczniejszym jeszcze jest lód, a obok niego zadawać się powinno choremu środki orzeźwiające, jak naprzykład owsiane piwo; dalej należy chorego kąpać i nacierać co sił, wogóle traktować go, jak... wyciągniętego z wody topielca.

Najlepiej-by było nie doświadczać i niepraktykować nigdy tych rad i wskazówek, ale skoro zająć może tak nieprzyjemna ewentualność, dobrze o nich wiedzieć i zachować je sobie w pamięci.

Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Jakkolwiek jakiś francuzki lekarz uspakaja Europę, że niebezpieczeństwo zniknie zupełnie, jeżeli przez miesiąc potrafimy powstrzymać groźne widmo rozmaitemi zakłęciami od naszych brzegów; jakkolwiek wielki i czcigodny Pasteur wybiera się naczelną kommissyą sanitarną do Egiptu, aby tam na miejscu robić doświadczenia nad straszną chorobą i szukać skutecznej przeciw niej prezerwatywy: nie powinniśmy zdawać się na łaskę losów i pamiętać, co powiedział znakomity niemiecki chemik i higienista Dr Maxymilian Pettenkofer, iż rozwój cholery zależy jest, nie tylko od przeniesienia zarazków, ale także od wrażliwości miejsc, do których te zarazki się dostają.

Najmniej uprzedzony Warszawianin, przeżegnać się musi machinalnie na wspomnienie własnego grodu, który pod tym względem w swoich warunkach sanitarnych, chyba do „najwrażliwszych“ miast zaliczać się musi.

Brak wody, brak kanalizacji, brak czystości, co gorsza, brak do niej zamilowania w niższych i uboższych warstwach ludności: wszystko to składa się na groźne *Memento*, ostrzegające przed cza-



sem do zdwojonej przed innemi ostrożności w Warszawie.

Tylko, że z tą ostrożnością u nas dziwnie ciężka sprawa. Mówią, iż Polak mędrzeje po szkodzi; dawniej było to może prawdą przysłowiową; teraz jakoś dzieje się najczęściej inaczej, skoro nawet złe rozumu nas nie uczy.

Ileż to razy o tej porze przypominaliśmy o potrzebie zabezpieczenia się od pożarów, o przygotowaniu środków ratunkowych, organizowaniu straży ochotniczych, przestrzeganiu przepisów policyjnych na wsi i po małych miastach—mimo to, zawsze jedne i te same Hiobowe wieści przylatują z nastaniem lata, o tysiącnych ofiarach mienia i życia ludzkiego, które płomień zabiera zpod gonimych dachów i słomianych strzech na prowincyi.

Najwięcej ucierpiało w tym roku Podlasie, ale też samo sobie winno, bo lekceważyło i dawne doświadczenie i nowe nawoływania do baczności.

Od powietrza, głodu ognia i wojny wypraszamy się Panu Bogu; ale to nie dosyć: trzeba i samemu strzedz się tych plag, z wyjątkiem ostatniej, która od ogółu nie zależy, i w której ogół decydować zazwyczaj nie może.

Rok bieżący źle się zaczął i od złych wróżb; konsekwentnie też do końca zapowiada się w swem tyrańskim i despotycznym usposobieniu. Potrzeba jeszcze, aby zbiory nie dopisały i ziemianom odebrały ostatnią nadzieję, którą im dżdżysta wiosna i niełaskawe lato pozostawiły.

Obywatele więcej przychodzą powoli do przekonania, iż potrzeba solidarnie pomagać sobie i wspólnymi siłami dbać o poprawę interesów swoich. Oddawna projektowane zjazdy obywatelskie, w dłuższych, co prawda, odstępach czasu, powtarzają się przy nadarzonej sposobności. W Poznaniu, tak zwane kółka włościańskie okazały się jedną z najpraktyczniejszych instytucji opiekuńczych dla interesów tamtejszego ziemiaństwa i właścicieli mniejszej posiadłości.

Nie wiemy, czemu to przypisać, że na co zdołali się tamtejsi włościanie, u nas zamożni obywatele zdobyć się nie mogą.

Przed dwoma niespełna tygodniami odbył się wprawdzie taki wiec ziemiański w Piotrkowie, na którym około 70 obywateli okolicznych radziło nad sprawą możliwych reform gospodarstwa, kwestyą założenia spółki rolniczo-handlowej i zawiązania towarzystwa wzajemnej assekuracji od pożarów i gradobicia; ze zjazdu tego wszelako na razie praktycznego rezultatu nie osiągnięto. Klidem rozpierającym obrady była sprawa spółki, na którą dwa stronnictwa niejednako się zapatrywały; według jednych spółka taka jest przedsięwzięciem ryzykownym, wymagającym najpierw fachowego wykształcenia, a potem kapitału zapasowego: dwóch rzeczy, o które w naszych warunkach nie łatwo.

Nasz handel zbożowy stoi jeszcze na takiej stopie, że o brak popytu niema obawy; zboża, byle było—nie będzie długo nasz rolnik trzymał w szpicherzu. Co gorsza, że często zmuszany jest do ściągnięcia gotówki, sprzedawać je na pniu; o gotówkę przeto, o kapitał obrotowy, o łatwy i tani kredyt, daleko trudniej. Odzywają się tedy głosy, że Spółki Rolnicze są dla naszego ziemiaństwa środkiem przedwczesnym, że projekt ładnie przedstawiający się na papierze, upstrzony frazesami „wydobycia się z rąk lichwiarzy i niesumiennej pośredników“—w praktyce natrafić można na niepowodzenia z braku kompetentnych i fachowo wykształconych administratorów, w których rękach losy takich spółek spocząć-by musiały.

Handel zbożowy nie jest tak prosty i łatwy, jak się napozór wydaje: wymaga i znajomości stosunków i sprytu, i energii, i specjalnego wykształcenia, a nie ludzmy się, że tego wszystkiego wśród ziemian naszych znajdzie na zawołanie. Chłodniejsze reflexy zatem ludzi ostrożnych i przeczornych, niedających się porywać od razu niebezpiecznemu optymizmowi—powinny być należycie uwzględnione i niepodjezwane o ujemny charakter, czy złą wolę.

Zjazdy obywatelskie, na których tego rodzaju sprawy mogą być roztrząsane, mają tę dobrą stro-

nę, że przyczyniają się do wyjaśnienia pojęć, równoważenia opinii i wyrabiania zdrowych zdań o kwestjach rolnika najbliższej obchodzących. Jest u nas mania i słabością zapalać się każdym nowym projektem, z przyzwyczajenia klaskać każdemu, wybuchać jak mina, a zużywszy dużo dymu i popiołu, ostygąć, zniechęcać się szybko; lepiej i korzystniej przystępować do rzeczy chłodno, a rozważywszy ją dobrze i starannie, zajmować się nią coraz goręcej i nie opuszczać lekko-myślnie.

Nie gorszymy się też opozycją przeciw Spółkom Rolniczym, jakkolwiek względna ich użyteczność najzupełniej uznajemy i radzibyśmy byli, aby wszystkie warunki złożyły się pomyślnie na wprowadzenie w życie i zapewnienie bytu tej instytucji, mającej interessa naszego ziemiaństwa na celu.

Wszystko, co dąży do wzmocnienia moralnych i materyalnych sił społecznego organizmu, zasługuje na poparcie i zachętę.

Z tego względu zanotować nam wypada projekt, który najbliższy zjazd obywateli powinienby wziąć również pod obrady i starać się jaknajrychlej o jego urzeczywistnienie: a to mianowicie projekt wskrzeszenia miejscami zmartwiałego, podniesienia upadłego a stworzenia nieznanego przemysłu wśród ludu, za pośrednictwem i pomocą wędrownych nauczycieli, na wzór takich apostołów w Galicyi.

Tam w ten sposób od lat kilku pomagają ludowemu ślusarstwu, koszykarstwu, tkactwu, snycerstwu, rozwijają z pożytkiem każdą gałąź przemysłu, który tylko w zarodkach się znajdował; u nas bardzo łatwo możnaby ten dobry przykład naśladować. Wieśniak nasz jest konserwatywnym, trzyma się głównie pluga i roli, ale jest też z natury ciekawym wszystkiego, pojętym i zręcznym bywa, a z postępem oświaty uczy się oceniać pracę każdą i korzysta z niej jaknajlepiej.

Instytucya takich wędrownych nauczycieli, którzyby chodzili pomiędzy ludem od wioski do wioski i względnie do miejscowych warunków rozbudzali, lub zaszczepiali rozmaite gałęzie i gałązki drobnego przemysłu, byłaby nader pożądaną a w rezultatach pożyteczną.

Chodzi o inicjatywę, co prawda, o rzecz we wszystkim, a zwłaszcza u nas najtrudniejszą, ale przy dobrej woli ta inicjatywa znaleźć-by się powinna, czy to w zarządzie Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, czy na pierwszym lepszym wiecu obywatelskim, czy w którejkolwiek poważniejszej instytucji krajowej. Nakładów do tego wielkich nie potrzeba, a pozwolenia władzy chyba spodziewać się można w sprawie tak niewinnej, a dla interesów kraju tak pożytecznej.

Trzymając się już wiejskich szlaków, wspomnijmy jeszcze o jednym projekcie bardzo na czasie będącym, który nader wymownie i przekonująco poruszyła *Gazeta Polska* w artykule Juliana Morosza; projekt ten kołaczę się od dawna po rozmaitych dziennikarskich szpaltach, lecz nigdy tak praktycznie nie został ujęty w formę wniosku łatwego do wykonania. Chodzi o ochronki wiejskie, o te dobroczynne kojce, w których ludzkie piskłeta, pozbawione po całych dniach rodzicielskiej opieki, zwłaszcza czasu lata—mogłyby bezpiecznie chronić się od wypadków niefortunnych. Ileż to dzieci potopiło się, wpadło pod końskie kopyta, potłukło sobie głowy na gościńcach, popaliło i poparzyło w opuszczonych chatkach.. ile stało się najniewinniej, bezwiednie powodem rozmaitych innych nieszczęść!.

Matka i ojciec u żniwa w polu, malec sam w chałupie, lub na przyźbie, co najwięcej w towarzystwie kusego psa. Cóż dziwnego, że nieszczęście, cychające na zgubę ludzką przyplącze się tak łatwo, kiedy mu nic w drogę nie wchodzi? Potrzeba nadzoru okazywała się zawsze i okazuje coraz bardziej konieczną.

Projekt *Gazety Polskiej* wskazuje szkołę wiejską, jako najlepsze *locum* na ochronkę, a gdzie szkoły niema, tam znajdzie się na pewno jakaś chata, czy stodoła obszerna, w której wiejskie pachołeta pod opieką najętej po temu piastunki całe dni razem spędzać mogą.

Każda matka, choćby płaciła kilkoma ziemniakami dziennie, bochenkiem chleba na tydzień, albo jakimś pieniężnym datkiem, okupi sobie rada spokój dla serca i swobodę dla pracujących rąk w polu, byleby wiedziała, że jej „pociecha“ bez narażenia życia i zdrowia dzień cały spędzić może.

Wpływ inteligencji wiejskiej, zwłaszcza przedstawienia i namowy pań i panienek ze dworu, dobry przykład dany w tej lub owej wiosce, wiele korzystnego zdziałać w tej sprawie mogą i zdziałać powinny, a w krótkim czasie takie ochronki wiejskie zaaklimatyzowałyby się, małym zachodem, a ku wielkiemu pożytkowi, wszędzie.

Trzeba poczuć się do obowiązku humanitarno-obywatelskiego i wyplenić chwasty ze ścieżek zarosłych dawnymi laty między chatą a dworem, trzeba dbać o ten lud, którego także Pan Bóg stworzył i nawiązywać sympatyczne nici pomiędzy sercami panów i gromady przy każdej nadarzonej sposobności, aby ich sąsiedzka miłość i zgodą łączyły w jedną społeczną warstwę.

W kronikarskich notatkach miasto w tej porze pozostawia luki niezapełnione.

Warszawa wyludniła się: komu pozwoliła kieszeń, frunął za granicę; komu kazali lekarze—powlókł się do krajowych zdrojowisk i kąpiel; kto wreszcie zapragnął wytchnienia—przeniósł się na willegiaturę. W porze urlopów, wakacyi i sezonów kąpielowych, fizjognomia miasta zmienia się prawie do niepoznania; ruch ustaje, życie towarzyskie i artystyczne omdlewa; gdyby nie dzienniki i teatr, możnaby zasnąć z nudów i przespać całe lato na bruku miejskim.

Moloch dziennikarski ziewa także, a Melpomena, zbiedzona jakaś i zakłopotana, bez humoru i werwy pędzi żywot pokutniczy. W ogródkach przerażające pustki świadczą, że epoka teatryzacji minęła w Warszawie; siły aktorskie li-che, repertoar nieszczęśliwy, bankructwo jak widmo czycha u każdej kassy ogródkowej na zasmuconych dyrektorów, którym Warszawa w tym roku stanowczo śmiertelny cios zada.

Nielepsze czasy dla sceny głównej, po spaleniu się Teatru Rozmaitości, po sztucznie galwanizowanym ruchu w operze udziałem Rzeszkówny, po rozjęchaniu się na urlop całego prawie kompletu lepszych sił komedyi i dramatu, nastąpiła epoka rekolekcji i rozmyślań na temat: co dalej będzie? Na odbudowanie spalonego teatru nie ma funduszy, zaledwie na pokrycie dachem wystarczy; co gorsza, brak nie tylko pieniędzy, ale brak pomysłu, planu, projektu zaradzenia groźnej ewentualności, jaką jest dla warszawskiego teatru pozabawienie go trzeciej stałej sceny.

Czas upływa, a pogorzeliśko—pogorzeliśkiem zostaje i Dyrekcyja z konieczności musi zasypiać gruszkami w popiele, bo wszystkie inne projekta na razie zawisły—gruszkami na wierzbie. Położenie jest fatalne.

Scenie polskiej wogóle stała się nowa krzywda, z rządu jej najcelniejszych współpracowników był znowu jeden i to niezastąpiony, znany i tyle zasłużony autor „Chłopów Arystokratów“, *Władysław Ludwik Anczyca*.

Kto nie znał od lat trzydziestu tego nazwiska, kto nie powtarzał go z uznaniem i miłością, kto nie rozkoszował się na przedstawieniu owych znakomitych form i treści utworów ludowych, które głównie talentowi Anczyca swój dzisiejszy rozwój i rozgłos zawdzięczają? Anewryzm serca położył koniec temu żywotowi, który do sześćdziesięciu blisko lat się przeciągnął, a większą połowę pracą dla sceny i literatury ludowej wypełnił. Dwa literackie tryumfy ujęły krańce zawodu pisarskiego Anczyca; jeden, jaki otworzył młodemu nieznanemu wcale przed trzydziestu trzema laty autorowi drogę na scenę krakowską, rozpoczynając nową epokę dla ludowego dramatu i komedyi tak popularną dziś jednoaktówką p. t.: „Chłopi Arystokracy“—drugi, wieńczący martwe już skronie jego świeżym liściem wawrzynu za ostatnią konkursową pracę p. t.: „Jan III pod Wiedniem“.

Jako poeta, tłumacz, dramaturg, humorysta i pisarz ludowy ś. p. Anczyca zdobył sobie oso-



bną i zaszczytną kartę w historii naszej literatury.

Znużony pracą, niech odpoczywa w pokoju!..

## STROFA PROZA

przez

W. Z. Kościatkowską.

„Lecz cóż z miłości, co jak łez kaskada,  
Kołysze ucho twe w takt i pieści,  
A w strofie życia piorunów nie mieści?”  
E-ly.

Wrześniowe, lecz ciepłe jeszcze i oślepiające słońce, wpadając przez otwarte naościę drzwi, słupem ostrych promieni i wirujących wśród nich iskerek i tęczy atomów, przerywało mroki zalegające kąty komnaty obszernej i wysokiej, na pierwszy rzut oka pustej, gdyż znajdujące się w niej ciężkie i staroswieckie sprzęty znikły pod ścianami, które obite były spłowiałymi tapetami, i w zagłębieniach okien osłoniętych ciężkimi, świątła dziennego nieprzepuszczającymi, firankami.

Z wysokiego balkonu, na który drzwi się otwierały, widok był malowniczy. Obszerny park, wdół zbiegający po łagodnej pochyłości, przedstawiał zbitą masę zieleni wszelkich odcieni, od ciemnych jodeł i modrzewi, do żółtawych akacy i wierzb srebrzystych. Bogactwo to odcieni jesień podniosła jeszcze, emalując je żółtymi i purpurowymi barwy. Zbiegając z zielonym tym spadem, oko tonęło w lśniącej się szybko jeziora, dość szerokiej, aby się w niej przejrzeć mogły błękitny firmamentu, nie dość, aby oko niedostrzegło po brzegach wyraźnego, ciemnego odbicia drzew, których stopy nurzały się w wodzie, a po drugiej stronie—fantastycznych wyzłobień ciemnego boru. Że zaś wzgórze, na którym dom się wznosił, górowało nad okolicą: za borem, w czystym polu, na skraju horyzontu rysowały się suche sylwetki krzyżów wiejskiego cmentarza, a wśród nich wiewrona, do wykrzywionego kaptura starożybnego podobna strzecha na cmentarnej kapliczce z dylów nieociosanych zbitych.

I czy ten-to sam cmentarz wiejski zamykający horyzont i na którym oko w dal zapuszczone spożądać musiało, jak na nieuniknionym kresie; czy dzika wybujałość opuszczonego parku, czy w dole nalewo, pomiędzy wyciągniętymi pod linią lipami martwa i zawsze tajemnicza pleśń zielonkawej sadzawki; czy tam naprawo na najpiękniejszej ze ścieżek wijących się górą nad jeziorem, a w miarę jak odbiegały od domu zwięzających się i ginących wśród kiściastej dziewanny, łopianów szerokich, koleczastych blekotów—ta wysmukła kolumna granitowa, do samotnego grobowca podobna: dość, że krajobraz ten malowniczy, smętnym był w każdej porze dnia i roku.

Patrzącym z ogrodu wrażenie to zwiększała jeszcze biała i naga monotonia, wysokiego domu—pałacu, z rozmiarów sądząc—sterczącego nad parkiem, jeziorem i lasami otaczającymi dokoła park i jezioro, na wzgórzu, jak raz naprzeciw i oko w oko z tym-tam, skraj horyzontu zamykającym, cmentarzem. Żadna architektoniczna ozdoba, portal, framuga, architrav, facyata, gżems lub żłobkowanie chociażby szkarp u dołu, nie przerywały monotony linii ciężkiego, dwupiętrowego kwadratu, podniesionego nadto, od strony parku i jeziora, o całe jeszcze piętro, przez wysokie suterreny. Dach, płaski wprawdzie, lecz skąpo w kominy zaopatrzony, okna, na wyższym piętrze za wysokie i za wąskie—okna z których się większa część nie otwierała nigdy i wokoło których jaskółki ulepiały swe gniazda; tyunki tu i owdzie opadłe—nie przyczyniały się do upiększenia i rozweselenia budowy tej, a oddalenie zabudowań gospodarskich, niskich, drewnianych, rozrzuconych, i zasłoniętych drzew i krzewów klombami, nadawało jej pozór samotny, tem bardziej, że w domu i naokoło domu, w parku i na jeziorze,

panowała zwykle cisza właściwa miejscom niezamieszkałym.

Nikt też z mrocznego pokoju, przez otwarte naościę na balkon drzwi nie przypatrywał się pięknemu krajobrazowi. Nikt... chyba te-tam z wielkiego, naprzeciw drzwi zawieszono portretu, oczy, w których szafirowych źrenicach słońce rozpuściło iskrę życia gorącą, migotliwą, przelotną—oczy piękne, wielkie, blasku pełne, pod brwią prostą, ciemną, lśniąca, sobolową. Oczy tem nie mniej łagodne i któreby twarzy całej nadały wyraz rozmarzenia, gdyby w sprzeczności z wyrazem tym nie stawały wargi pełne, namiętnością drgające, rozkoszą wilgotne, purpurowe, odwinęte dumnie, a po rogach w sceptyczny uśmiech zagięte.

Prześliczny portret! Taki, jakie malował Lampi lub Bacciarelli—portret karmazyna z rodu i pierza, dworaka przytem i sybaryty. Brwi zsunęte, rozdęte nozdrza, postać wyniosła, harda i barki silne jeszcze, świadczą o szczątkach rycerskiego animuszu, konającego pod zniewieściałością obyczajów, które zdradza strój francuzki, zbytnia jakaś wytworność, pewność siebie, pewność zwycięzcy, przyzwyczajonego do zbyt łatwych, a może niedosć zaszczytnych, podbojów, i ta, piękna niewątpliwie, lecz wypieszczona ręka, jak u kobiety biała i wązka, o długich palcach, emalowanych paznogiach i różowej, do wnętrza delikatnej morskiej kłacy podobnej dłoni, wyłaniająca się zółtawych koronek izwisa leniwie na rzeźbionej poręczy krzesła. Był to jeden z tych portretów miękkich i miękko traktowanych, które stylem nie wzbijają się na surowe wyżyny sztuki, lecz nosząc piętno epoki swej, bez komentarzy i wymownie opowiadają widzom dzieje pędzlem na nich zaklętych ludzi, czasu ich i narodu.

Z każdej fałdy szat tych jedwabnych miękkich, z połysku haftów, z mglistych półcieni koronek, i pudru na włosach misternie ułożonych, z układu postawy—hardej i zniewieściałej zarazem—z rysu każdego, z szyi jak u kobiety mlecznej i odkrytej, ale potężnej, z nazbyt szybkiego spadku czoła, z blasku fosforycznego a mglistego oczu, z ust purpurowych i zmysłowych, z błękitnej siatki żyłek rysującej się na delikatnej zapadłej skroni, z brody starannie wygolonej, z tych rąk wydłużonych o rozpalonych dłoniach: tryska życie i siły, lecz życie gorączkowe, wybujałe, siły zmarnowane w wielu razach, zszargane w ustawicznej gonitwie za użyciem, za rozkoszą zmysłową. Jest w tem jakaś swawolna igraszka, bezmyślna rozrzutność szafująca mieniem, zdolnościami i zdrowiem, natrzaskająca się z praw przyrody i historii. W każdym tu rysie stoi wyraźnie napisane: „Après moi le déluge”, to też oko widza mimowoli szuka i chciałoby u dołu znaleźć podpis:

„Ostatni z rodu!”

Tem nie mniej portret był prześliczny, pociągający zarówno wzrok myśliciela, jak miłośnika sztuki, ponętny też zapewne dla niewieściego oka, jak ponętnym być musiał niewątpliwie przedstawiony na nim w kwiecie młodości, fortuny i dostojństwa mężczyzna, wymowny blaskiem spojrzenia, które umiało być i goracem i tkliwym, i zapalać i rozczulać, jedwabnymi słówkami ust zarówno skłonnych do przysięg miłosnych, jak do wyszydzenia tego, co twierdziły dopiero z nieprzepartą i przekonującą zawsze szczerą namiętnością prawdą.

Na tym też portrecie, zdającym się oddychać żywą pierśią, w tej słonecznej powodzi, spoczał wzrok kobiety, która lewą ręką podnosząc amazonkę uwydatniającą kształtną i wyniosłą kibić, stanęła na progu, zarumieniona, z rozchylonymi ustami, falującą jeszcze od szybkiej jazdy pierśią. Śpieszyła widać, bo i czasu nie miała związać pęku róż grubopiennych, które w drugiej trzymała ręce, a które teraz podniosła do twarzy. Zdawać-by się mogło, że je wraz z powitalnym pocałunkiem rzuci na portret, wdzięczne zjawisko witałoby najweselszym uśmiechem i rozpromienieniem. I kto wie, czy ten, który za życia kwiatów tyle zrywał niebaczną ręką, nie dostałby jeszcze na swym portrecie tej z róż daniny, gdyby towarzysząca amazonce chart, przebiegłszy niespokojnym wzrokiem pokój, nie rzucił się był, z oznakami najżywszej radości, w najciemniejszą głąb jego.

— „Ciszej Poklus... tu! nazad! zbudzisz go! O nie-

dobry! niemądry Poklusie!—wołała zcicha, stając ostrożnie a mrużąc słońcem i złotymi polski ram portretu oslepione przed chwilą oczy, usiłowała przebić mroki, w których rysowała się niewyraźnie, wśród szalów i poduszek, w pół zatoniona w głębokim i wysokim fotelu, postać jakaś, około której chart Poklus uwijał się, skowycząc z wielkiego rozradowania.

— Nie śpisz, Karolu?

Nie, nie spał, a w oczach, które przed chwilą oderwał z portretu, aby je w niej utkwic, w oczach wielkich, szafirowych, do tamtych malowniczych podobnych bardzo, tylko większych, głębszych, zaświatową jakąś tęsknotą zamglonych, zapaliła się iskra przelotna, promienna... zgasła jednak, zanim rękę, jak tamta w portrecie, wązka, lecz bladą i chudą, wysunął do przybyłej. Zimną być musiała, bo przy dotknięciu ręki tej przybyła drgnęła i szybkim ruchem rozsunała firanki.

Teraz dopiero ciepłe promienie słońca bez przeszkody żadnej cały zalały pokój. Teraz w głęboki fotel zasunęta, ujawniła się wyraźnie postać mężczyzny, urody słusznej, lecz ze szczupłości, zgiętymi ramionami, z twarzą bladą i cierpieniem nacechowaną, z włosami ciemnymi i bujnymi, lecz przedwczesną przypruszoną siwizną. Teraz też uwydatniło się uderzające podobieństwo między chorym tym nieuleczalnie zapewne i od lat już wielu—oile wnieść z pierwszego już rzutu oka można było,—a tym, wiszącym na ścianie, portretem. Tylko wszystko, co tam na płótnie, wybujałością było życia, rozkoszą, szalem, na tych wydelikacowanych, zniszczonych rysach wypisało się cierpieniem. Krew wrząca tam pod bogatą karnacją, kipiąca tysiącem, natychmiastowego zadowolenia szukających, pragnień, zastęgała tu w cierpliwej rezygnacji w wiecznym wyczekiwaniu. Na ustach, jak tamte pełnych, zawisł uśmiech smętny, pytający, od skargi boleśnieszego łagodną swą pogodą, świadcząca już dostatecznie o oderwaniu od ziemi i materii, gdyby świadectwo to potrzebne jeszcze było wobec tych, chorobą rozszereżonych, ale nie wygasłych, owszem, zaświatowych marzeń i zaświatowych blasków a zagłębień pełnych, oczu. To, co w oczach z portretu patrzących było tylko iskrą migotliwą, ów pierwiastek lotny, duchowy, wzmożony tu do nieskończoności, uduchowiając się nad miarę, naruszył równowagę pierwiastków w odrotnym kierunku, złamał, zmiażdż jak szatę zużyta młde to ciało, tak, że ten pół żyjący, zdawał się już duchem tylko. Cierpienie przetrawiło w nim wszystko, co ziemskie—oprócz woli—słodkiej, łagodnej lecz nie przemożonej; uporem niemal zaznaczającej się na czole, w ustach z zaświatowymi uśmiechami, w oczach z zaświatowymi spojrzeniami. Wola ta wyrobiła się w nieustannej walce z cierpieniem, wobec najtrudniejszych a zawsze cichych zwycięstw nad boleścią i samym sobą: to też nad nędzami temi, wzbijał się duch pogodny, wolny, skrzydlaty.

Może też w nadludzkich zapasach woli z cierpieniem chwiał się on czasem i upadł na chwilę; lecz o tem wiedziały chyba mroki, w których się wówczas chory zanurzał, a może też i odgadywały po części czarne, aksamitne i promienne oczy kobiece, które i teraz przez długą chwilę wpatrywały się weń bacznie i z rozżalaniem współczuciem.

— Nie pytam ciebie—jak się masz dzisiaj; odpowiedziałbyś swoim wiecznym, lecz dla mnie nie zagadkowym już wcale: „nie źle”. A ja temczasem widzę ślady nocy bezsennej, ślady poranku, spędzonego na pasowaniu się z cierpieniem, z samotnością, z mrokami... Znam to! Zamiast pośpieszyć, opóźniłam się!

— O godzinę, minut siedm—przerwał jej z uśmiechem, podnosząc na nią powłóczyście spojrzenie i tuląc jej rękę w swoich. — Zwątpiłem już, czy przyjedziesz.

— Zwątpiłeś?

— To jest, właściwie mówiąc, niespokojny byłem: czy ci się czasem co nie przytrafiło... Bałem się, czy nie zasłabłaś; od niejakiego czasu jesteś roztargniona; wczoraj uważałem, żeś nic prawie nie jadła i bladą byłaś.

— Dziś za to chce mi się jeść szalenie... Jaktó, dotąd nie jadłaś śniadania! niedobry!



— Czekalem na ciebie.

Zadzwonila na sluzbe.

— Dzisiaj wygladasz mi weselsza, wygladasz jak poranek majowy.

— Czemu nie powiesz raczej, ze jak ten pogodny, a moze ostatni juz, dzien letni? Porownanie byloby blizszym.

— Cóż bylo powodem tak niezwyklego twego opoznienia sie? stalugi?

— Nie... spotkanie. I to w lesie, romantyczne.

— Czy „królowej wieszczek“, która tak ci sie wczoraj podobala?

— Czemu raczej nie bladnego rycerza?... Te lasy nasze bardzo podobne do zaczarowanej za siedmiu morzami—przepraszam—za siedmiu jeziorami krainy.

— Lecz ten kto w zaczarowaną kraine wnuknie, czy obudzi spiacą w nich królowe?

— Jesli bedzie posiadal slowo zaklęcia... Patrz! jak na te pore roku, wcale ladne role!

Rozsypana je na jego kolanach.

— Przesliczne! Czys je w zaczarowanym swym ogrodzie zrywala z bladnym owym rycerzem?

— „In the fresh morning dew“, jak opiewa piosenka. Nie, mój bladny rycerz, w nemrodowym stroju, nie na rozana sianozeć, lecz wybieral sie na lowy.

— A! Adryan! istotnie bladny rycerz! Tym razem jednak, ku wielkiej mojej pociesze, nie tak sie gwałtownie wyrwa na bezcelowe swoje wlozcegi. Widać, ze lasy nasze obfituja w zwierzyne i... w piękne uspione królowny.

Rozmawiajac tak swobodnie, wesoło prawie, kobieta krzatala sie w pokoju chorego, jak we własnym domu. Fotel wraz z chorym wysunela ku drzwiom, zkąd mógł użyć słońca, powietrza i pięknego widoku; na stole ukladala rozrzucone papiery i dzienniki; otwierala szafy i komody; z jednej z szuflad dostala wprzecz tam rzuconą robotkę kobiecą. Sludzy tymczasem, zastawiajac sniadanie, wchodzili i wychodzili, dom zdawal sie dopiero ze snu budzić i sam chory wychodzić z odrętwienia martwego; ozywial sie, rozgrzewal, usuwal kolejno nagromadzone naokoło siebie szale i poduszki. Wkrótce z wonia róż, napełniająca pokój, zmieszala sie przenikająca wszędzie wonia smakowita gotującej sie kawy. Błkitne plomyki spirytusu darennie walczyły o lepsze z promieniami słońca, igrającymi w kryształowych i srebrzystych naczyniach. Poklus, wietrzac smakowite kęski, wesoło machal ogonem. Rozmowa ozywiala sie, chociaż nie schodzila z toru rzeczy powszednich, bieżących. Byla to rozmowa ludzi, co sie widuja codziennie, wspólne maja interessa i zajęcia, i codziennie rozmawiaja z sobą o tysiącznych, ich samych tylko wyłączenie zajmujących, szczegóлах.

W cichym domu zapanowal ruch, nie hałasliwy jednak, gdyż sludzy przyzwyczajeni byli do kroków i słów przyciszonych. Do pokoju chorego pana kazdy wchodzil, jak do kościoła, kazdy cichych i łagodnych a stanowczych rozkazów sluchal z uwaga i uszanowaniem; niejednen przytem mial cos do powiedzenia na osobności, zwierzal sie z czemś, rady zasięgal. W przerwach, gdy nie bylo w pokoju nikogo z majacych interessa do pana, znowu zaczynala sie rozmowa o ogólniejszych nieco rzeczach.

— W Irlandyi oplakane dzieja sie rzeczy. Środki repressyjne zdwojone.

— Biedna Irlandya! pozbawiona chleba i swiatla przez majetnych i oswieconych Anglików.

— Sądziel, ze lubisz Anglików!

— Poza Irlandya i Egiptem.

— Podszczuwania do juden-hecy tez nie ustaja.

— Wstrętne! Cofamy sie do Srednich Wieków! Czyżby mial runac marnie najlepszy dobytek cywilizacji! Mów, co chcesz, Karolu: ludzkość ta oplakana, wyglada istotnie jakby skazana byla na wieczyste kolowanie.

— Ładniejsze i wierniejsze orzeczenie sytuacji znalazlem wczoraj, w tej oto ksiazce,—która nawiasem przeczytac ci radze, a pogodzisz sie ze sławnym historykiem Fryderyka Wielkiego.

— Powiedz to porównanie.

— W wolnym przekładzie brzmi to tak mniej więcej: „Pokolenia—to dni mozolajęcej sie ludzkości, zgony i porody, nieszporne i poranne dzwony wo-

lajające ludzkość do snu i do budzenia sie, z odświeżonemi do dalszego postępu silami“.

— Ciężkie porody! wątpliwe sil odświeżania.

— Cóż chcesz! „I orzeł—nie ja to mówię, lecz zawsze Carlyle — zanim nowy dzien dostanie, stary musi bez litości strzaskać na skalach.“

— Bolesna operacya! ponawia sie zbyt często.

Dom przez godzinę zbudzony i ozywiony, w uprzednią zapadł ciszę. W oddaleniu ginęły coraz rzadsze kroki slug, roznoszających po obszernym dworze rozkazy pana. Ani jeden powiew wiatru nie podnosil najlżejszych chociażby szmerów w gąszczu drzew, ani jedna zmarszczka nie wznosila sie nad błkitną tonię jeziora, a tam w górze ani jedna chmurka nie przemknęła po błkitnej niebios toni. Tylko jaskółki, ciszą tą przynecone aż na balkon, zawodziły z sobą spory jakies, pisklęta swe przyuczając do lotu. Poklus, rozciągnęty na słońcu, spał w najlepszej. Chory, wycieńczony krótkim, lecz watle jego sily nużącym zajęciem, opuścił głowę na poduszki fotelu i zdawal sie odpoczywać; tem nie mniej zpod przymkniętej powieki, rzucał od czasu do czasu spojrznie na swą nadobną towarzyszkę. Robota, którą do rąk byla wzięła, opadła na jej kolana: mała, wytworna z pod jasnych włosów bujnemi warkoczami główkę wsparła na rękę. Zamysliła sie głęboko, wpatrzona w jedną z tych pajęczych nitek, które jesień rozwiesila u ballustrady balkonu. Nitkę przecięło żalobne skrzydło jaskółki. Ściągnęła brwi i odwróciła sie w drugą stronę.

Znow sie zapatrzyla — tym razem na portret. Spójrznie czarnych aksamitnych jej zrenie, pogłębialo sie i macilo. Znow zlekka brwi ściągnęła. Widocznie myśli jej gdziekolwiek ulecialy, zawsze wracaly do jednego i snadz niepokojącego ją przedmiotu. Wstala wreszcie z miejsca, wyszła na balkon, postala czas jakis oparta o ballustradę. Daleko gdzieś, daleko, rozległa sie trąbka myśliwska i zbliżający sie, to oddalający gon psów.

Wróciła, pochyliła sie nad fotelem, a widzac, ze chory nie spi, pieszczonym ruchem przesunęła rękę po bujnych jego, przedwczesną siwizną przypryszczonych włosach i pieszczonym tez zapytala głosem:

— O czem tak myslisz, Karolu?

— Mógłbym tożsamo zadać ci pytanie. Od niejakiego czasu coś ci jest... czy nie troska jaka?—dodał z niepokojem.

— Uspokój sie... Nie, nie troska, owszem, sądzę, ze ci to przyjemnem będzie. Wszak nic z tego, co sie mnie tyce, nie może ci być objętnem, prawda?...

Wzniósł na nią głębokie, powłoczyste spojrznie, rękę jej zdjął ze swej głowy i do ust przycisnął.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## UCZUCIOWI

KOMEDIA W DWÓCH AKTACH

przez

Józefa Blizińskiego.

(Dalszy ciąg).

AKT I, SCENA V-ta.

Zosia, Floryan, który wszedł był przed chwilą z lewej strony, w eleganckim ubraniu myśliwskim, z dubeltówką; później Generałowa, niewidziana przez nich, przy końcu sceny pokazu je sie w ganku.

Floryan (przybiera ton rozpieszczzonego gagatka).

Panno Zofio, a teraz na mnie kolej.

Zosia (zamysłona).

Jaka kolej?

Floryan.

Ucałowania rączki.

Zosia (z uśmiechem).

A to na co?

Floryan (bierze jej rękę).

No, najprzód na dzien dobry, a potem na szczęście, bo idę na polowanie.

Zosia (odbiera zlekka rękę).

Pytanie: czyby to było skutecznem? a zresztą nie chciałabym wdzierać się w cudze atrybucye; pewna osoba mogłaby mieć o to do mnie pretensya.

Floryan (z trzpiotowatą poufalością).

Zachowamy tajemnicę.

Zosia (wzrusza ramionami).

Ha, ha, ha, zabawny pan jesteś (wychodzi nalewo).

Floryan (sam).

Czy sie obrazila? (posyla za nią całusa) Przepraszam!

SCENA VI-ta.

Generałowa. — Floryan.

Generałowa (wchodzi na scenę, zatamuje ręce).

Ah, Floreczku, Floreczku... jakiś ty szkaradny!

Floryan.

Cóż sie stalo? (całuje ją w rękę). Dzień dobry cioci.

Generałowa (całuje go w głowę).

Wstydz sie! wszystko widzialam.

Floryan.

Nie może być i coś takiego?

Generałowa.

Trzpiocie! trzpiocie! — zapominasz co ci mówilam, jadąc tu.

Floryan.

No, ze jedziemy w konkury — zanotowalem to sobie.

Generałowa.

Na których pomyslnym skutku i mnie i tobie bardzo wiele zalezę.

Floryan.

To tez staram sie być jaknajprzyjemniejszym, i jezeli nam sie nie powiedzie, to juz nie będzie moja winą.

Generałowa.

Czy to należy do twojej taktyki, ze calowales w rękę tę wychowanke? cóżby sobie pomyslala Kamilka, gdyby spostrzegla, ze sie innej zalecasz?

Floryan.

To było tak *en passant*... zresztą, tak sie rozmachalem w mojej roli....

Generałowa.

No, widzisz! czy z tobą można mówić poważnie?

Floryan.

A czy ciocia miała podobny zamiar?

Generałowa.

Miałam i mam, i dlatego proszę cię, posluchaj mnie z całą uwaga... (wzruszona) Mam ci zrobić wyznanie tajemnicy, która mnie tyle kosztuje, tyle kosztuje!



**Floryan.**

O! (do siebie) cóż to będzie? (stawia strzelbę na boku).

**Generałowa.**

Siadajmy (siadają na ławce). Otóż... ale naprzód, powiedz mi... kochasz ty mnie?

**Floryan.**

Ale jak!

**Generałowa.**

Tylko nie żartuj sobie!

**Floryan.**

Ależ, moja ciociu, zkadże ta dziwna indagacya? zdaje mi się, że pomimo całej lekkomyślności nie dałem nigdy powodu, żeby...

**Generałowa.**

Bo, ja-bym chciała, żebyś mnie zrozumiał... ty nie wiesz, jak mnie twoja przyszłość leży na sercu! Na łożu śmierci twoja matka zaklinała mnie, a ja jej poprzysięgłam, że opiekować się tobą będę... ja-bym dla ciebie niebo chciała stworzyć na ziemi!

**Floryan** (całuje ją w rękę).

Bardzo wdzięczny cioci jestem.

**Generałowa** (z wybuchem).

Czy ty wierzysz, że ja cię kocham, jak własnego syna?

**Floryan.**

Ale wierzę! cóż nie mam wierzyć (n. s.). Aj, jak ta ciotka nudna ze swemi czułościami.

**Generałowa** (bierze go w objęcia i całuje po głowie).

Mój Floreczku, póki żyć będę, twoje miejsce będzie tu, przy moim sercu.

**Floryan** (n. s.).

Udusi mnie.

**Generałowa** (j. w.).

Cokolwiek nastąpi, wierz w moje macierzyńskie przywiązanie, jak w świętą Ewangelię.

**Floryan.**

A! moja ciociu, już też byłbym ostatnim niedowiarkiem, gdybym, odbierając takie dowody... (wydobywa się z jej objęć) zaraz... bo chciałem trochę odetchnąć.

**Generałowa** (trzyma jego obie ręce).

Bo widzisz, ty jesteś jeszcze młody, niedoświadczony, łatwowierny; gdy usłyszysz głosy ludzkie, spotwarzające twoją ciotkę, gotów-bys dać im wiarę...

**Floryan.**

Przepraszam, ale ciotka wpada w takie galimatias, że mi się w głowie zaczyna mieszać... O cóż ciotce chodzi?

**Generałowa.**

O opinią moją! rozumiesz? o opinią!—w której obronie pragnęłabym, abyś stanął w każdym razie.

**Floryan.**

Jakto? i to na to był ten cały prolog? ależ... rzecz tak prosta, że niema o czem mówić.

**Generałowa** (rzuca mu się na szyję).

Floreczku! jakie ty poczciwe dziecko jesteś! ale ty nic nie wiesz!

**Floryan.**

Spodziewam się (n. s.). Pierwsza rzecz z sensem, jaką ciotka dziś powiedziała.

**Generałowa** (ze spuszczeniem oczyma).

Świat uważał cię zawsze i uważa za mego jedynego spadkobiercę... (chwila milczenia).

**Floryan** (p. c. seryo).

No?

**Generałowa** (j. w. cichym głosem).

Tak nie jest!

**Floryan.**

Więc cóż?

**Generałowa** (j. w.).

Okoliczności... do których wyjawienia ci brakuje mi w tej chwili odwagi, pomimo, że miałam ten zamiar... zrzuciły, że majątek w moim posiadaniu będący nie może przejść po mojej śmierci na ciebie... straciłam prawo rozrządzania nim.

**Floryan.**

Ale, moja ciociu, cóż masz za obowiązek tłómaczyć mi się z tego?

**Generałowa** (rzuca mu się znowu na szyję).

O, jakiś ty dobry!

**Floryan.**

Dałaś mi wychowanie, łożyłaś do tej pory na mnie, to aż nadto... czas już, abym zaczął sam myśleć o sobie... przecie pracować potrafię.

**Generałowa** (j. w.).

Ja nie chcę, żebyś ty pracował!

**Floryan.**

A to dlaczego?

**Generałowa.**

Coby świat na to powiedział!

**Floryan.**

Ciotka żartuje? czy co?

**Generałowa.**

Obrzuciłby mnie błotem! o! ja znam ludzi... dlatego nie chcę, aby mieli powód do czegoś podobnego. Posłuchaj mnie! Nie przyszłoby do tej rozmowy i do tego wyznania, gdyby nie obawa, że ty zbyt lekceważysz sobie cel, z którym tu przybyliśmy. Maryaż, który ci się nastęrcza, jest jedynym środkiem do wydobycia nas obojga z fałszywego położenia (z przyciskiem). Maryaż ten musi przyjść do skutku jeszcze, dopóki uchodzisz za dziedzica mego majątku.

**Floryan** (zrywa się).

A to tak? O! za pozwoleniem, nie myślę przystrajając się w pożyczane pióra: wstydzilibym się sam przed sobą.

**Generałowa** (wstaje także).

Co mówisz?

**Floryan.**

Wyznam przed panną otwarcie prawdę, a od tego, jak to przyjmie, zależeć będzie dalsze moje postanowienie.

**Generałowa.**

Więc zgubisz wszystko...

**Floryan** (ironicznie).

Tak ciotka sądzisz? mnie się zdaje, że przeciwnie: albo dostanę żonę przywiązaną do mnie bezinteresownie, albo rozejdziemy się, każde w swoją stronę... chociaż z żalem... bo ją kocham, pojmuję ciotka?

**Generałowa.**

O! nie zrobisz tej niedorzeczności.

**Floryan.**

Kiedy ciotce tak o to chodziło, trzeba już było zostawić mnie w nieświadomości.

**Generałowa.**

Cóż, kiedy truchlałam patrząc na to, jak ty sobie nieogłędnie postępujesz... Odkrywając prawdę, chciałam cię skłonić do zastanowienia się.

**Floryan.**

Pokazuje się, jak różne są nasze zasady.

**Generałowa** (chodzi, n. s.).

Po co ja mu to powiedziałam! (składa ręce) Floreczku!

**Floryan.**

Tylko daj ciotka pokój wszystkim patetycznym scenom... niema już o czem mówić.

**Generałowa.**

Gdybyśmy nie doprowadzili tej rzeczy do skutku, byłbyś dla mnie przez całe życie żywym wyrzutem.

**Floryan.**

Rozgrzeszam ciotkę ze wszystkich skrupułów... Wprawdzie mógłbym mieć pretensją o to, że wychowywany byłem na próżniaka, ale to już moją rzeczą: naprawić, co ciotka popsowała.

**Generałowa.**

Floreczku!... mnie tak chodzi o ludzkie języki! (gorąco) na popioły twojej matki zaklinam cię, pomyśl o tem na serio... bądź rozsądny.

**Floryan.**

O! co do tego, bądź ciotka spokojną!... głupstwa nie zrobię.

**Generałowa.**

Ale... (wstrzymuje się, spostrzegłszy wchodzących).

## SCENA VII-ma.

Poprzedzający. **Kamilla**, **Grzmocki** chuderlawy, trochę łysy, z maleńkimi wąsami uczernionymi i podkreconymi do góry, sztywny, z ruchami wojskowego pruskiego, ma na sobie kuszą ranną zakietę; wychodzą z domu; później **Zosia**.

**Generałowa** (idzie do **Kamilli**, z czułością).

Dzień dobry ci! jakże się masz po wczorajszym późnym spacerze? ale nie pytam już, bo wyglądasz tak świetnie, jak cię kocham, że gdybym była mężczyzną... ale! (bierze **Kamillę** pod rękę, przechadzają się; ciszej). Wystaw sobie, wychodzę tu przed chwilą, patrzę... **Floryan** przechadza się zapatrzony w pewne okienko, domyślasz się w które... mówię mu dzień dobry, nie słyszy... (spostregają, że **Floryan** zbliża się do nich; ciszej) Cicho! nie mu o tem nie mów, bo taki jakiś dziś drażliwy. (**Floryan** bierze rękę **Kamilli**).

**Kamilla** (oddaje mu uścisk).

Dzień dobry panu (**Floryan** się oddala; ona spogląda za nim).

**Generałowa** (poufnie).

Nie dręcz go też.

**Kamilla** (zdziwiona).

Nie rozumiem pani.

**Generałowa.**

No, no, już nic nie mówię, kiedy ci się to nie podoba. (n. s.) Zarumieniła się: to dobrze. **Grzmocki** i **Floryan** przechadzają się milcząc, każdy osobno.

**Kamilla.**

Wyobraź pani sobie, że pogniewaliśmy się z panem **Grzmockim**.



**Generałowa** (ciekawie).

No? O cóż takiego?

**Kamilla.**

Nie a nie nie wiedziałam, że był wojskowym.

**Generałowa.**

A! moja droga, przecież to zaraz znać z powierchowności, z ruchów; jako Poznańczyk, był w pruskiej armii i odbył całą kampanią francuzką, nawet odznaczył się.

**Grzmocki.**

A panna Kamilla uważała mnie za filistra; była łaskawą pytać się: czym nie zarano wstał po wczorajszych trudach i czym się wyspał? (*śmieje się z urazą*) Na to pozwoliłem sobie opowiedzieć zdarzenie, jak na czele szwadrony, nad którą, jako lejtnant objąłem *commando*, w zastępstwie poległego rotmistrza,—w ciągu czterech dni i nocy *en suite*, odbyłem marsz forsowny: nie zsiadając z konia i nie zmrużywszy oka.

**Floryan** (*chodząc, n. s.*).

Blagier!

**Generałowa.**

Istotnie tak było, żelazny człowiek, wierzaj mi.

**Kamilla** (*powściąga ironiczny uśmiech*).

Przepraszam pana, zem się na to rozśmiała, ależ to tak nieprawdopodobne! Zresztą, znałam pana z innej strony, jako uczonego....

**Grzmocki** (*skromnie*).

O! proszę bardzo.

**Kamilla.**

Pedagoga.

**Grzmocki.**

Właściwie nigdy nim nie byłem *en forme*, nie robiłem z tego *métier*.

**Generałowa** (*prędko*).

Tylko z przyjaźni zgodził się przed kilkoma laty matkować Floryanowi, który właśnie kończył edukacją.

**Kamilla** (*z uśmiechem*).

O! jeszcze raz przepraszam pana.

**Grzmocki** (*kłania się, n. s.*).

Ta dziewczyna robi na mnie bardzo ograniczone wrażenie; wolę tamtą drugą (*zbliża się do Zosi, która przed chwilą weszła i zajęła się samowarem; bierze ją za rękę*) Dzień dobry pani (*mówi do niej pochichu*).

**Generałowa** (*zbliża się prędko do nich*).

Ale z panny Zofii jaki ranny ptaszek, to podziwiać! dziś obudziwszy się o świcie prawie, już słyszałem za oknem jej głosik (*Grzmocki się zbliża do Floryana, z którym rozmawia n. s.*).

**Kamilla.**

Pocziwa siostrzyczka wyrecza mnie przy gospodarstwie, bo ja tego nic a nie nie potrafię. Ojczulek, muszę się przyznać, zanadto mnie rozpieścił, jestem doniczego (*bierze Zosię za szyję*), ale zato ona—to wzór praktycznej panny.

**Zosia.**

Zlituj się, nie syp tak pochwałami, bo się będę rumienić.

**Kamilla.**

Jeszcześmy dziś nie powiedziały sobie „dzień dobry“, bo ja w najlepsze zasypiałam, kiedy ty już wstałaś (*całują się*).

**Generałowa.**

Ah, i ja także (*ściska rękę Zosi, która jej oddaje niski dyg*). Panie się kochacie. Jak to miło widzieć taką harmonią w rodzinie!

**Zosia.**

Pani generałowa możeby dziś pozwoliła kawy....

**Generałowa.**

O, nie, dziękuję ślicznie, kawa mi szkodzi na nerwy: proszę o herbatę, tylko bardzo lekką, leciutką (*do Kamilli ciszej, idąc z nią do stołu*). Ale to podobno bardzo dalekie pokrewieństwo?...

**Kamilla.**

Przyznam się pani, że nie wiem w jakim stopniu, ale uważamy się za siostry; chowałyśmy się razem od dzieciństwa (*siadają przy stole*).

**Grzmocki** (*znowu przy Zosi, która nalewa herbatę*).

Pani poparzy sobie paluszki—możeby wyręczyć.

**Zosia.**

Dziękuję panu, to już moja funkcyja.

**Generałowa** (*odwraca się do nich*).

Mnie się zdaje, że daleko większe niebezpieczeństwo grozi paluszkom, jeżeli p. Achilles będzie się sprzeciwiał p. Zofii.

**Grzmocki** (*n. s.*).

A to słuch, panie, na urząd, skandal! (*odbiera szklankę przeznaczoną dla generałowej i stawia przed nią*), chciałem się przysłużyć.

**Generałowa** (*udobruchana*).

Cóż za galanterya! bardzo dziękuję (*rzuca nań długie spojrzenie, kładzie nieznacznie palec na nosie, jakby mu groziła; p. o. pije*). A gdzie się podziewa radca? czy jeszcze nie gotów do swojego śniadania?

**Zosia** (*przy samowarze*).

Wujaszek spaceruje jeszcze w najlepsze (*do Grzmockiego, podając mu szklankę*). Dla Kamilli (*Grzmocki zanosi*).

**Kamilla** (*do Grzmockiego, odbierając szklankę*).

Dziękuję (*do generałowej*). Ojciec trzyma się ściśle przepisu doktora: chodzi z zegarkiem w rękę.

**Generałowa.**

Chociaż piorunuje przeciw tej kuracyi i przymusowej dyecie (*śmieje się*). To ostatnie szczególniej daje mu się we znaki.

**Zosia** (*podaje szklankę herbaty Floryanowi, który chodzi pochmurny*).

Pan pozwoli?

**Floryan** (*krótko*).

Dziękuję pani.

**Zosia.**

Jakto? wcale?

**Floryan** (*j. w.*).

Piłem już mleko prosto od krowy, w oborze, razem z p. Grzmockim.

**Kamilla** (*spogląda nań, n. s.*).

Co on dziś w takim dziwnym humorze?

**Grzmocki** (*do Zosi*).

Tak! śniadaliśmy sielankowo, pomimo to, ja przyjmuję (*ciszej*), chociażby dlatego, żeby się pani napróżno nie fatygowała.

**Generałowa** (*która dotychczas siedziała tyłem do samowara, przesiada się*).

Tak mi tu słońce w oczy.

**Zosia** (*do Grzmockiego, podaje mu szklankę*).

A spróbuj pan, może niesłodka.

**Grzmocki** (*jeszcze ciszej, ogląda się na generałową*).

Z pani rączek wszystko słodkie.

**Zosia** (*głośno, śmieje się*).

Jakież to staroświecki komplement!

**Generałowa.**

Panie Achilles! (*Grzmocki zbliża się prędko*). Proszę mi podać sucharki.

**Kamilla** (*podaje*).

Pocóż poruszać pana lejtnanta!... ja byłabym podała.

**Generałowa.**

A od czegoż oni są, moja droga?

**Grzmocki** (*odbiera od Kamilli sucharki i podaje generałowej, z emfazą*).

Po ojczyźnie służyć kobiecie—było i jest zawsze cechą rycerstwa.

**Generałowa.**

Tylko, że panu trzeba się o to przymawiać.

**Grzmocki** (*n. s.*). Piłująca jest, jak honor Kocham! (*siada przy generałowej na miejscu, które mu ona wskazuje*).

(Dalszy ciąg nastąpi)

## LOSY IDALKI.

(Dokończenie).

Podawała mi papierosa, a sama drugi zapaliwszy—mówiła dalej:

— „Po śmierci mojego męża, ujawniła się oddawna pokrywana ruina całego majątku. Zostałam od wszystkich opuszczoną nagle; ci, co powinni byli nieść mi pomoc, właśnie przeciw mnie stanęli i złączyli się z krzywdzącymi niedoświadczoną kobietę jawnie i bezczelnie, naigrawając się z mej biedy, dowodząc, że na nią zasłużyłam. Dosyć powiedzieć, że mój dawny pachciarz Moško jeszcze okazał się najdelikatniejszym, najwzględniejszym z pomiędzy wierzycieli mojego męża: chrześcian i żydów, szlachty i nieszlachty, panów i, jak mówią, łyków. Wyzuta ze wszystkiego w imieniu prawa i sprawiedliwości, udałam się do mojej familii. Byli to chwile najboleśniejsze mojego życia. Wszędzie znajdowałam obojętność, wszędzie przyjmowano mnie z obawą i niechęcią; daremnie ofiarowywałam się do pracy użytecznej, aby nie jeść proszonego chleba: odpychano mnie z niedowierzaniem, a niekiedy i szyderstwem. Widziałam, iż nie przedstawiając dla nich żadnej wartości, wistocie żadnej też nie mogę mieć ceny. Pod formą grzecznej poufałości, czułam iż mniej znaczę od każdej zaufanej sługi. Wstydzono się mnie, że zbiedniałam, jakgdybym była zbrodniarką! Słowy wypowiedzieć nie zdołam tych wszystkich udęceń, jakich doznałam u najukochańszej rodziny. Zapewne byłam winną, że mój jutrze nie myślała, że nie umiała sobą i nim pokierować tak, aby coś przynajmniej na czarną godzinę zachować: ale tylko wielkie sobkowstwo, wielka lodowatość serce mogła wydać z siebie takie niemilosierdzie i niedelikatność, jakie mnie u nich spotykały. Jeżeli mnie marnotrawstwo w oczach ich potępiało—to czyliż oni lepsi? Wiesz pan zapewne, że jeden z moich dobrodziejów ówczesnych,



hr. Henryk z Borzewa — mieszka już w Warszawie, szturmując do jakiegoś kantoru o posadę, a Zakliński lada dzień z majątku wyleci. Umieci oni wraz z żonami swemi lepiej od nas trwonić majątek, czas, młodość—a nawet i dobrą sławę.

„Zebraawszy resztę klejnotów—a były one już mniejszej ceny—spieniężyłam je i z maleńkim funduszem pojechałam do Warszawy, aby z pomocą jego zdobyć sobie jakotako niezależne stanowisko. Mogłabym być istotą przysługującą przez rodzinę, ale nie chciałam być żebraczką. Energii mi nie brakło: jestem przecie córą tych, co nieprzyjaciół przed sobą nigdy nie liczyli!—ale nie miałam dostatecznej znajomości stosunków, ani umiejętności i wprawy w przedzieranie się przez tłum, równie, jak ja, a może bardziej jeszcze, potrzebujących. Inna rzecz, mając pieniądze, tronować w światłości salonów, inna zupełnie brać szturmem pozycyą, pośród tego chaosu, zgłodniałych, szukających chleba lub zysku. Nieprzychylnie mi wciąż losy kazały trafiać na ludzi bez sumienia, dla których niema innej świętości oprócz rubla, chociażby papierowego o chronicznie niżonym kursie. Tacy ludzie, mnie, niedoświadczoną, z ostatka moich funduszy odarli, naśmiewając się z mojej prostoty i zacofania arystokratki, bo arystokracya, której niema już dziś między nami, jeszcze stanowi pewien rodzaj widma, używanego na postrach lub szyderstwo, przez pelzające po ziemi podłe robactwo, przez herbowych i nieherbowych oszustów. Odartej ze wszystkiego po raz drugi, nie pozostało mi już nic innego, jak tylko zostać gdzie guwernantką.

„Chleb to zawsze gorzki; trafiałam rozmaicie, czasem na ludzi istotnie godnych i zacnych; ale moje nieszczęście sprawiło, że tacy wkrótce przy mnie bankrutowali i grzecznie, pokornie oświadczały, iż mimo moich zalet nauczycielskich, dłużej mnie trzymać nie mogą. Cóż było robić? Zaczęłam sama przebierać w miejscach, bo wielu tych poczciwych, o których mam najlepsze wspomnienia, nie zapłaciło mi nawet za moją ciężką pracę.

„Przez liczne starania, dostałam miejsce u jednej wdowy wzbogaconej szacherkami męża, dawnego celnika na komorze. Sądziłam moją pozycyą zapewnioną na lat kilka, w istotnie zamożnym domu—gdzie tam: co znaczą rachuby nasze wobec niezłaganego losu?

„Umieszczona w pokojach dawniej przeznaczonych na składy zboża, dostałam, pierwszej zimy zaraz, artretyzmu, a w dodatku jeszcze i panującej w powietrzu ospy.

„Zeszczocona, bez włosów, zębów, z palcami pokurczonemi od bólów, wyszłam z tych dwóch strasznych chorób...

„W chwilach mojej rekonwalescencyi gorąco zapragnęłam, pomodlić się na grobie mojej matki.

„To mnie sprowadziło tutaj.—Nadszpodzianie gościnne przyjęcie, jakiego doznałam od dawnych moich pachciarzy, zatrzymało mnie u nich. W końcu przyszedł do mnie sam Moško, zrzęcznie wybudując obecne położenie moje.

—„Co pani dziedziczka czy hrabina—mówił do mnie—bo nigdy nie szczędzi mi tytułów, ma szukać pieniędzy, co nie zgubiła, po świecie? Lepiej zostać między dawnymi sługami, co ją szanujemy i wiemy co warta.—Ot, niech pani moje córki, czego potrzeba na panny, wyuczy: a Moško lepiej i regularniej od tych książąt i hrabiów, co ich kiedy może będą szukać za żony, zapłaci, bo Mosiek nie taki kapcan, jak był dawniej, ale może, jak Bóg na to pozwoli, być takim panem jak i drudzy. Czemu nie? tylu szmatników na magnatów wyrosło! Teraz takie czasy. Dlaczego Moško miałby być od drugich gorszym?

„Trafiły mi do przekonania te słowa prostaczka i zostałam między nimi. Mam swój pokój oddzielny, oddzielną sługę, która mi gotuje, żyję między sobie życzliwymi, którzy mnie szanują. Czasami z pomiędzy chłopców okolicznych zawadzi o dwór taki, co moje dawne dla nich dobrodziejstwa pamięta i za nie okazuje się wdzięcznym. Wszystko to są pociechy w potopie złego losu, jakich między krewnymi jako rezydentka, ani między obcymi jako guwernantka nie miałam. W listach moich mienię się *boną u pachciarza*, *boną* nie guwernantką, bo wistocie niczego gruntownie nie umiem, a grać dobrze na fortepianie, ze skureczonemi palcami nie

potrafię. Czemu więc jestem, bez specjalności? Boną, umiejacą więcej aniżeli inne; a wiem, że ten tytuł w dodatku bardzo wielu z moich nieprzyjaciół ucieszy“.

—Może—rzekłem—hrabiną powoduje w tem myśl wyższa: myśl, że te przysze magnatki, te przedstawicielki plutokracji a pewno i pretendenci do arystokracji, pod jej kierunkiem—zmienią wiarę rodziców.

„To-by było — odparła żywo Idalia — z mojej strony nieszlachetnem, kiedy sobie ich rodzice tego nie życzą. Owszem: tego rodzaju oddziaływanie na dzieci wyraźnie wyłączyliśmy z programmatu nauczania. Niema też między nami nigdy mowy o rzeczach dotyczących tak jednej jak drugiej religii. Uczę tylko nauk czysto świeckich: polskiego, niemieckiego i muzyki.

Najlepiej się pan przekonasz o naszym całym stosunku, zobaczywszy tu Ozer, bo słyszę jego kroki na schodach; idzie tu dowiedzieć się o naukach i sprawowaniu córek, a może zwabiony wiadomością, że przybył ktoś obcy, chce go zobaczyć, poznać i zbadać, obyczajem afferzystów, na wszystko baczących i uważnych.

Za chwilę poważna, niemal patryarchalna postać, stanęła przed nami. Ozer, przeswidrowawszy mnie wnet nawskróś swojemi pięknymi i inteligentnymi oczyma, zwyczajem ludzi wschodnich, odrazu poznał mnie, przypomniał sobie dawne moje stanowisko w domu rodziców hrabiny, a dowiedziawszy się iż zajmuję posadę w sądownictwie, wieszował, prorokując mi krzesło w senacie; ale zaraz i o mieszkanie w Warszawie wypytał, aby wrazie potrzeby mógł mnie odszukać i z pomocy mojej skorzystać.

Nie był to już ów giętki, pokorny, układny pachciarz, przez grzeczność przezywany arendarzem: utył znacznie i pozował raczej na obywatela, z tem wszystkiem, jako człowiek rozumny, umiał ton właściwy z każdym utrzymać. Dla mnie był pełen życzliwości i grzeczności, pełen szacunku i uszanowania dla hrabiny, a miłości rodzicielskiej—dla dwojga wcale ładnych dziewczątek, które właśnie z książkami w ręku, wchodziły w tej chwili do pokoju Idalii na lekcyą.

—Nu, pani dziedziczko—pytał Ozer, głaszcząc po główkach, dzieci, czepiające się jego jedwabnego żupana,—a byłyż one wczoraj grzeczne i uczyły się dobrze?

Na zapewnienie hrabiny, iż niema nic do nagany — rzekł Ozer:

—No, to macie tu coś dobrego, com dla grzecznych przywiózł z miasta—to mówiąc, zaczął z kieszeni dobywać łakoci, a obracając się do mnie—dodał:

—One dobrze wiedzą, co ich od matki czeka, gdyby podsłuchała, co pani hrabino nie jest z nich kontente, bo pani to takie dobre, co na nich nigdy nie skarży: a to feler, bo u nas przecie, w piśmie napisane stoi, aby dzieciom nie żałować kary, co by na ludzi, nie na hultai, wyrosli.

Mimowolnie pomyślałem: ilerazy w czasach gdy się nauczycielstwem trudnić był zmuszony, spotykałem rodziców zupełnie niedbałych na to: kto uczy, czego uczy, jak uczy, a jak naukę przyjmują jego dzieci; zapłacenie jedynie szkoły, guwernera, uważa się za cały już rodzicielski obowiązek.

Pan Ozer, bardzo przyzwocię się na kanapce kątowej rozsiadłszy, pieszcząc dziewczynki, począł dalej rozwijać swoje pedagogiczne poglądy.

Wszystkie nacechowane były praktycznym bardzo rozsądkiem, chociaż myśli te wyrażał dziwnie i bardzo kulawą, niedołąną, ciągle przekręcaną polszczyzną.

—Ja-by chciał — rozpowiadał, do mnie się zwracając, a oczami szukając approbaty, że to co mówi jest słuszne—coby one nie były takie prostaczki jak rodzice, bo Bóg wszechmocny dał pieniądze, to one pewno za pachciarzy nie pójda, a za takich jakich do wielkiego miasta. Nietrzeba przecie, aby mąż się żony wstydził, bo i kochać nie można tego, kogo nas wstyd. Długo ja prosił pani hrabine, coby ich tego wyuczyła, co i panny inne umieją. Więc dobrze mówię i pisać popolsku, jak po domach gadają pofrancuzku i ponieemiecku także, bo to człowiekowi nigdy nie zaszkodzi, co więcej języków niż swój, rozumie, przy-

tem grać na pantalonie jak inne drugie. No, naturalnie dobrze pani dziedziczka rooi, co ich tych nauk uczy, coby wiedziały gdzie mieszkają i co za świat wielki i rozległy, jakie tam ludzkie, ziemia, morza, kraje...

Co do rachunków i hebrajskiej mowy, to ten nasz belfer. co chłopców uczy, to im to wyłoży co trzeba, a ja z matką znowu, wyuczemy jak mają obserwować nasze żydowskie religie, bo to najlepiej, żeby uczyli rodzice sami i dziecku tłumaczyli w co ma wierzyć.

Tu blysnął na nas swojemi przenikliwemi oczami, jakby chcąc przeniknąć, czy hrabina albo ja, nie mamy jakich ukrytych zamiarów prozelityzmu co do dzieci jego. Uspokojony wszakże w dalszej rozmowie ze mną, stanowiącej rodzaj naukowego programmatu, na moje uwagi, że panniekom-by się zdało co wiedzieć z nauk przyrodniczych i coś o ekonomii domowej, okazał się stanowczo tym naukom przeciwny. —A to na co im bałamucić głowę — mówił — albo to z książek kto się gospodarstwa kiedy nauczył? Szkoda na to pieniędzy. Niech one, te moje córki, będą tak dobre żony i matki jak moja Gitla, a takie gospodynie jak ona, co z serków, masła, jajek, wyszła na dziedziczkę, to i tak one dla mężów będą warte miliony.

—Ja-bo tu przyszedłem — mówił Ozer — zmieniając przedmiot rozmowy, panią dziedziczkę pytać:—Czy pojedzie jutro na odpust do Makowa? bo jak nie, to na te konie co mają iść do powozu, zładowałbym furę i posłał po wapno.

Ogarnawszy, po tej wizycie dawnych pachciarzy nowego dziedzica, cały stosunek Idalii poznałem: iż nie mam tu już co bardzo robić: w niejednym z domów magnackich nie byłoby jej lepiej. Pożegnawszy hrabinę, siadłem w najętą furmankę, a jadąc do kolei, nad tem rozmyślałem, że arystokracya, która nie czuje solidarności swych członków, ma chyba już dni swoje policzone: bo jakże mogła odsunąć się od takiej Idalii, i zostawić ją na pastwę losu, i pozwolić, aby dawny pachciarz był dla niej takim, jakim nie był żaden z jej krewnych, żaden z ludzi urodzeniem i zajmowaniem niegdyś stanowiskiem jej równych?!

Wielkiślaw.

## Z APENINÓW

(Dalszy ciąg).

Nieraz przecie pasterz taki dźwiga w dodatku jagnię nowonarodzone lub zasłabłe, choć wogóle wszystkie zwierzęta, schodząc z gór, są przepysznie wypasione i mają jakiś wygląd dziwny, bo też dziczyły do pewnego stopnia. Strefa pastwisk wznosi się ponad strefą winogrodu i kaczanów, a sięga aż tam, gdzie już skała jest nagą i roślinność znika zupełnie, to znaczy, że rozciąga się na wysokościach od tysiąca pięciuset do trzech tysięcy stóp ponad poziom dolin.

Chociaż oku podróżnego zdaje się, że lasy kaczanów zarastają wszystkie góry widzialne z dolin podgórza, nie jest tak przecie. Są tam na południowych stokach tych gór winnice i uprawia się tu zboże, nawet w pewnych wybranych miejscach istnieją gaje oliwne. Uprawa gruntu jest tu sztuczna, terrasowa, i ztąd też produkta, które rodzi, zmieniają się w miarę wyższego lub niższego położenia. Pług jest tu nieznanym, bo nierówność i spadzistość pól użyć-by go nie dała. Wszystko tu kopie się motyką i spadłem i ziemia jest tak doskonale odwróconą i poruszoną, tak uprawną, że gdy jesienią spojrzysz się na zagony świeżo obsiane, zdaje się, że są to grędy ogrodu, przesiane i ugrabione najstaranniej, a płodność tej gleby, która od nieprzeliczonej liczby wieków żywi człowieka, jest niesłychaną, bom widział sam w Val di Lima pole, na którym pszenica dojrziała w końcu Czerweca, i została natychmiast sprzątniętą i zasianą w w połowie fasolą, w połowie kukurydzą, mająca pójść do stodoły przed zimą. Tym razem ledwie, że odwrócono ziemię



szpadlem i poruszono ją otyłe, aby przyjąć mogła posiew; jednak w dziesięć dni potem młoda kukurydza puściła się gęstą runią i była już na pół stopy wysoką.

Kukurydzę, którą sieje się jedynie w dolinach, sprzątają w Październiku i wtedy domy wyglądają zdaleka jak nasze brogi, bo kłosa kukurydzy, związane w pęki, niektóre jak snopy nasze, wieszają się na ścianach, aby dojrzały do reszty na słońcu.

Całe fronty domów są nią pokryte; kamień znika zupełnie i pozostają tylko otwory na drzwi i okna. Uprawa konopi jest tu znaczna, bo ich włókno obrywa cała ludność tutejsza i słonecznym dniem jesiennym wioski rozlegają się zupełnie, tak jak u nas, szcękaniem terlic i miedlic. Moczają też konopie, tak jak u nas, i przędą je tak samo na przęślicach, siedząc przed domami. To gospodarstwo konopne dawało mi nieraz miłe naszych wiejskich bab przypomnienie. Przędza i płótno konopne stanowią ważny towar wywozowy dla gór tutejszych; konopie są tak doskonałego gatunku i tak dobrze obchodzą się z niemi, że włókno świeci się jak jedwab i ma jego delikatność. Umieją je też praść bardzo cienko, tak jak przędzono u nas niegdyś po dworach, że dwa motki przędzy pani przewlec mogła przez swój pierścionek—a świat cały wie, jakie paluszki mają nasze panie.

U nas już się podobno nie przędzie, skoro się płótna domowego nie nosi, ale tu sztuki takie są jeszcze dumą każdej gosposi.

Winograd rośnie tu nawet na znacznej wysokości bo od 800 do 1000 stóp ponad poziom dolin, ale wino bywa rozmaite, bo chłody i wilgocie początków lata oddziałują na owoc. Oczom podróżnika, który przybywa z Północy, obfitość ogromnych gron w roku urodzajnym sprawia przepyszny widok; cała okolica jest obwieszona, uwieczniona niemi i zdaje się, że to jakieś święto Bachusa. Nie dziw, że Toskańczyk dotąd kłnie się na tego starego patrona. Ale wino z gór nie jest dobrem, nawet w najlepszym, to jest najgorętszym, roku; grona niejednostajnie dojrzewają, a wieśniak zbiera je wszystkie razem, aby uchronić przed zlodziejem. Zaprowadzono też tutaj winograd amerykański, dający szczególne a przepyszne owoce, których sok jest jakgdyby z malin lub ananasów. Sybaryta, który raz pokosztował *Uva fragola*, nie zapomni nigdy tego smaku. Wina z tych winogron nie piłem, bo tu chodują je tylko na owoc do zjedzenia.

Zpoza skał zatem oko dostrzega nieraz ciągnące się brzegami strumieni rzędy białych topoli, których srebrzysty spód jasnych liści i biaława kora odbija od ciemnej zieli bujnej roślinności tutejszej; z włókna tych drzew wyrabiają najlepszy we Włoszech papier, i w San Marcello, stolicy Pistojskich Apeninów, jest wielka papiernia braci Cini, a na drodze do Val di Lima spotyka się też często wozy, naładowane równo popiłowanymi pieńkami. W dolinie Lima jest kilkanaście małych papierni, wyrabiających ordynarny papier i bibułę ze słomy kukurydzowej. Przemysł ten istnieje w Apeninach od wieku XVI i dotąd też jest tu jedynym.

Plodozmian zaprowadzony już jest w nizinach, a częstogęsto spotyka się go nawet u stóp podgórza; ale samo już podgórze i góry należą w całości do wieśniaka, a ten rządzi się tu podawnemu w całym znaczeniu tego słowa. Nie można przecież czynić mu wyrzutu, że jest złym gospodarzem, bo na południowych stokach gór urządził on sobie bardzo pracowicie i możliwie sztucznie terrasy, na których uprawia wino i oliwę, a jeżeli kasztan, niewymagający prawie żadnej pracy, zabiera resztę przestrzeni, można powiedzieć na obronę właściciela gruntu, że idzie on za mądrością natury i pozwala rozpościerać się temu drzewu, bo rośnie też ono tam, gdzie żadna inna ro-

ślinność utrzymać-by się nie mogła dla braku pożywienia. Nie ma tu dość prostopadłej, załomów, urwisk, wysoków, skał dość stromych, jarów dość kamienistych, aby się tam nie znalazł i nie rósł, nie rozdził obficie. Tak śmiały jak sosna górską, tak płodny jak kąpana w promieniach słońca oliwa, wytrzymuje on najostrejsze, skalistemi galeryami wawozów apenińskich przeciągające, wiatry i nie ponosi od nich szkody. Tam gdzie łono ziemi skamieniałe nie chce wydać już nic na pokarm dla człowieka, kasztan przynosi mu posilne i znaczne pożywienie, a co więcej pożywienie, które daje się przechować na zapas, daje się spieniężyć, jako towar zawsze pożądanym. Kasztan rodzi bardzo długo, wtedy nawet, gdy pień zupełnie wypróchniał wewnątrz ledwo się trzymać zdaje. Usuchający już kasztan, jeżeli ściętym, jak należy, zostanie, wypuszcza z korzenia młoda i pełną sił latorośl, która w lat kilka obficie rodzić zaczyna.

Zbiór kasztanów, przypadający w początkach Października, jest w Apeninach największym wypadkiem roku i więcej zabawą, uroczystością dla klas wszystkich, niżeli pracą. Aby dzieci mogły w nim uczestniczyć, szkolne wakacje przypadają na ten miesiąc, i trudno za najdroższe pieniądze znaleźć wtedy kogoś do roboty w domu, gdy wesoło cygańskie życie zaczyna się pod drzewami. Lasy napełniają się gwarnymi drużynami, które z pomiędzy złoto-zółtych i brunatnych już liści wybierają kasztany, bo tych nie trzęsie się nigdy z drzew, ale zbiera się tylko wtedy, gdy dojrzałe już doskonale wyluszcza się z obłon swoich i spadają na ziemię, co sprawia taki odgłos, jakgdyby grad bił po liściach. Zbiór rozpoczyna w czasie oznaczonym przez ogłoszenie municypalne, zwykle na Ś-go Michała a trwa do dnia Ś-go Szymona i Judy. U nas, wedle przyswojania, należy się już spodziewać grudy, lecz tam jeszcze ciepło jest, słońce świeci i grzeje: to też, jeżeli rok był późny, przedłuża się termin tego zbioru o dni dziesięć. Jak w Szwajcaryi właściciel ma prawo strzelić do każdego, kto zakradnie się cichaczem do winnicy w czasie, gdy winogrona są już dojrzałe, tak też wolno strzelić do szkódnika, któryby w czasie spadania kasztanów zachciał spacerować pod drzewami. Ale srogie to prawo jest i było zapewne zawsze martwą literą. Gdy termin urzędowo oznaczonego zbioru upłynie, lasy stają się znów otwartymi dla każdego i uboga ludność, niemająca własnego gruntu, cisnie się tu wtedy tłumnie, bo gdy to, co jeszcze pozostało na drzewach spada teraz, wolno jest każdemu podnieść i za własność swoją tak uważać, jak kłosa uronione przez żniwiarzy wolno jest zbierać działwie komornic ubogich.

Właściciele obszerniejszych przestrzeni, nie mogąc podolać robocie siłami samej tylko czeladzi, przyjmują do niej dziewczęta okoliczne na dni czterdzieści, dając im przez ten cały czas jeść i mieszcząc je wpośród rodziny, a na odchodnym dodając każdej po dwa worki mąki kasztanowej. Godzone są tylko do zbierania kasztanów, ale gospodyni spodziewa się, że po powrocie z lasu, gdy zjedzą wieczór, zasiada jej znów z pomocą do kądzieli, co też bywa zawsze. Warczą wrzeciona, opowiadają się gadki, lub śpiewają piosenki, a że jaki taki młody góral rad posłuchać, wytwarzają się z tego naksztalt wieczornic naszych rauty wiejskie, na których niejedna i niejeden straci serce, aby przecież odnaleźć je wkrótce, bo wiele małżeństw zawdzięcza swój początek kasztanobranii i wieczornicom. To też dziewczęta cisną się do tej roboty; dla wielu, nawet najuboższych, znaczy ona tak wiele, że nieraz woli dziewczyna wyrzec się najkorzystniejszej służby w miasteczku, aby tylko nie ominał jej zbiór kasztanów w jej wiosce. Często godzą się z warunkiem, że na ten czas wolne będą.

Październik bywa w Apeninach niezmiernie

przyjemny i już nie tak gorący jak lato, jest przytem miesiącem obfitości i wesołego używania zebranych darów rocznych. Wieśniak spożywa bez troski całe worki świeżych kasztanów, nie piekąc ich tak, jak w miastach, ale gotowane i gorąco jedzone zaraz, gdy tymczasem całe ich zaspasy leżą w suszarniach, wielkich domach bez okien, rozrzuconych po lasach. Nieświadomemu ich przeznaczenia zdaje się, że w tych posępnie wyglądających budynkach zakradł się pożar, tak dym wychodzi z nią ciągle dachem i wszelkimi szczelinami, lecz ogień to jest utrzymywany tu dzień i noc, dla wyciągnięcia wilgoci ze świeżych kasztanów. Ztamtąd wiezie wieśniak kasztany do młyna, gdzie je miela na mąkę „farina dolce“, różnawego koloru i miłego bardzo smaku, a która stanowi jakgdyby grunt pożywienia dla ludu tutejszego. Robi on z niej sobie zupełną, codziennie spożywaną: *polenta*, na którą w innych stronach Włoch używają mąki kukurydzowej, ale kasztanowa jest o wiele lepsza i delikatniejszego smaku; robi z niej również okrągłe, suche ciastka *necci*; pieką je między kasztanowemi liśćmi, które na ten cel gospodynie suszą sobie i chowają. Nadają one ciastu pewien aromat dymny, wielce ceniony przez smakoszy miejscowych, trzeba jednak przyzwyczaić się do niego i przybysz ze stron innych nie może przełknąć tych łakoci, za które przepadają Górale Apenińscy, których gust prosty i niewykwintny tak się lubuje w tych przydymionych przysmakach swoich, tak je przynosi nad najwytworniejsze w świecie potrawy, jak rodzinny dom kamienny i wioska na skale jest mu stokrój milszą i w oczach jego piękniejszą niż wszystkie pałace i miasta Europy. Nie żąda on też nic od cywilizacji, której dobrodziejstw zręka się dla terażniejszości i przyszłości swojej, stojąc przy przeszłości, którą kocha, nie mając jej. Kocha coś, co przeczuwa, można powiedzieć instynktownie w znaczeniu, jakie przywiązywali do niej ojcowie jego ojców i mieszkanie Toskańskich Apeninów. Wogóle góral włoski, osiadły na tych grzbietach skalistych, które tworzą wzdłuż całego półwyspu jakgdyby jakiś kraj inny, nadpowietrzny, nie jest prawie Włochem—Włochem, zlewkiem tych ludów różnych, które kolejno pchały się w czarownie piękny kraj złotych jablek hesperyjskie h....

To Latyn jest stary, Latyn więcej nawet niż Rzymianin—ten którego przodkowie cofnęli się w zasięki naturalnych twierdz ojczyzny swojej przed nawałą coraz to innych barbarzyńców, tłoczących się tam dołem, walczących, borykających się z sobą, mieszających się wzajem i wytwarzających naród nowy, z nową cywilizacją, której on nie zna, nie potrzebuje, przyjąć nie chce i dlatego trzyma się rodzinnych skał swoich, schodząc z nich chwilowo, rzechy można dla handlu, dla zamiany produktu, którą prowadzi z mieszkańcami pogranicznego kraju. Jestto dla niego niby nieunikniona konieczność losu, przyjęta jako spadek po przodkach, co tu nie jest czechem słowem. Moc tradycyi rządzi całym tym ludem Włoch górnych, chociaż z wpływem wieków zmieniło się wszystko, co służyć mogło za uczuciową, lub rozumową podstawę tej spornej oddzielnosci górala. Nic nie może wyparować go ze stanowiska zajmowanego wśród niedostępnych szczytów i gdy raz miasteczko Luzzano, osunąwszy się ze stoku dzie dzicznej swej góry, legło w wodach rzeki Lima z sześćdziesiąt dwoma domami i trzema kościołami swemi, mieszkańcy odbudowali je na temsamem miejscu, jakkolwiek nie w tejsamej, co dawna, postaci.

(Dokończenie nastąpi)

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 12-ty tomu III-go powieści pod tytułem: **Aż do śmierci.**

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Strofa prozą, przez W. Z. Kościółkowską. — Uczuciowi, komedia, (dalszy ciąg), przez Józefa Bliżńskiego. — Losy Idalki, przez Wielisława, (dokończenie). — Apeniny, (dalszy ciąg), przez P. Ż.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 19 Іюля 1883 года.